



fot. Jan Rolke

Super trio w warszawskim Palladium: Sylvain Luc, Steve Gadd i Richard Bona

Ten koncert zaskoczył mnie więcej niż bardzo, stając się pierwszą jaskółką mogącą przywołać jazzową wiosnę – wiosnę nowego, świeżego spojrzenia na oczekiwania melomanów. Gdy Pat Metheny czy Al Jarreau nie potrafili wypełnić do ostatniego miejsca Sali Kongresowej, może warto zacząć szukać nowych pomysłów, kreować nowe jakości, zjawiska czy pomysły, zamiast stawiać na pewniaków niegwarantujących już nadkompletu publiczności?

20 stycznia br. w warszawskim Palladium wystąpiło trio, którego magnesem nie był jego sztyl, a nazwiska muzyków: **Richard Bona** - b, voc, **Steve Gadd** - dr i **Sylvain Luc** - g. Pierwszy – Kameruńczyk, ulubieniec polskiej publiczności, wytrawny melodyk, zaklinacz klimatów, wirtuoz basu elektrycznego i... strun głosowych; drugi – Amerykanin, gigant, żywa ikona jazzowej perkusji, człowiek, który przestawił bębny na nowe stylistyczne tory jazzowego grania ponad trzy dekady temu; i ten trzeci – Francuz, muzyk stojący właśnie u progu wielkiej światowej kariery, mający opinię gitarzysty łączącego elegancję klasycznego pojnowania gitary akustycznej z klimatami Johna McLaughlina z czasów „Live At The Royal Festival Hall”, a w zanadru znakomite recenzje dokonane pod szyldem Trio Sud (z kontrabasistą Andre Ceccarellim i perkusistą Jean-Markiem Jafetem).

Wspomniana trójka zabrała nas w podróż w nieznane. Był to bowiem ich pierwszy

wspólny występ! Bona nawet żartował, że usłyszymy wszystkie błędy, kiedy w wypełnionej po brzegi sali niegdyśszego warszawskiego kina Palladium rozpoczął show z kompaniami. I rzeczywiście, początek nie rzucił nas na kolana. Sztampowa interpretacja popowego hitu *Tequila*, popelnionego przed półwieczem przez Daniela Floresa nie napawała optymizmem.

Wszystko, co stało się potem, było lepsze, bardziej energetyczne, ciekawsze. *Tequila* była jedynym „cudzesem” w koncertowym programie, dalsze utwory stanowiły bezdyskusyjny popis kunsztu kompozytorskiego wszystkich członków tria. Choć niektóre kompozycje przypisane zostały poszczególne członkom grupy (z naciskiem na Bonę i Sylvaina), to artyści nie kryli, że ostateczny efekt to siła kolektywnego połączenia sił i pomysłów. *Don't Forget* przyniosło ducha najlepszych lat amerykańskiej wytwórni GRP. W takich tematach jazz podaje sobie rękę z melodyjnością piosenek pop, czyniąc konglomerat dzisiaj chętnie określanym mianem smooth-jazzu. Tu błyszczeli mistrzowie strun, by za chwilę oddać – jak w sztafecie – paleczkę (sic!) Gaddowi. To on solową introdukcją rozpoczął kompozycję Sylvaina *Fandangito*.

I to było to! Guru perkusistów pokazał to, co uczyniło zeń jednego z najbardziej rozpoznawalnych drummerów świata. To „coś” to wyjście w sferze rytmu z rudymenarnej tradycji orkiestr marszowych i wejście w

świat fusion-jazzu. Do tego wystarczył mu werbel, bęben basowy i break (włącznie sobie stronę internetową Gadda, a usłyszycie o co chodzi). Już pierwsze nuty wywołały aplauz, wszak znamy to z setek płyt. Ta wychodząca z marszów konwencja, kultywowana do dzisiaj przez departament bębnow słynnej Eastman School Of Music, ma w Gaddzie – jej absolwencie – najlepszego ambasadora. Choćby dla tych kilku chwil warto (i należało) być w Palladium! Samo *Fandangito* przywołało skojarzenia z iberyjskimi naleciałościami muzyki Di Meoli i Paco De Lucii.

Kolejna kompozycja, *Ginga*, była popsem w konwencji brazylijskiego karnawału. Życie nie umiera! O tym, że mieliśmy do czynienia z programem premierowym mówił na wstępie Bona, jednak o tym, że był on premierowy do tego stopnia, że kompozycje nie miały tytułów, dowiedzieliśmy się po trzech kwadransach, gdy basista zaanonsował kolejną kompozycję *Warsaw Tuesday Night* (potem mieliśmy też *One Evening In Warsaw* oraz *Żurek*, oczywiście były to anonse w konwencji żartu). Gdy poznamy płytę tria, poznamy też właściwe tytuły.

Jaka to była muzyka? Kto zna typowe dla Bony klimaty, ten wie jak pięknie można mieszać afrykańskie zaśpiewy, szeroko pojnowaną world music z duchem muzyki fusion, jazzem. Była jednak w tym pewna nieprzewidywalność, muzyka dokonywała czasami ostrych zakrętów. W *One Day* powiało klimatami... arabskimi. Na bis dostaliśmy solidnego rock'n'rolla z unisonami (*Burning*).

Wydawało się, że nic więcej nie usłyszymy („To wszystko, już nic więcej nie mamy w repertuarze” – oznajmił Bona). Gdy zespół od ponad pięciu minut przebywał w kuluarach, a publiczność nie ściszała aplauzu, na scenie pojawił się Bona. Grając solo, pokazał jedną ze swoich sztuczek, w której nakładając kolejne warstwy głosu na elektroniczne pętle, stworzył mini-chórek Richardów Bonów śpiewających w narzeczu Duala, gdzieś pod rozgwieżdżonym niebem Kamerunu. Było przepięknie!

Super trio Richard Bona – Steve Gadd – Sylvain Luc wystąpiło na dwóch koncertach: 20 stycznia br. w warszawskim Palladium i 21 stycznia w Auli Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Organizatorem obu koncertów były agencje New Music Art Production & Go Ahead.

Piotr Iwicki